



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

Ekspedycyja główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta

kwartal. flor. 3, na prowiny z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.
W Krakowie: u D.E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowiny z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Rs. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. i sgr. 20.

GWIAZDKA.

„Noc a z nią milczenie zapadło nad okolicą. Po obu brzegach rzeki (Renu) zaczęły z wolna zapalać się światełka, tam gęstsze i jaśniejsze, tu rzadsze i bledsze, jakby zasnuwane mgłą nadržeczną, a nad tem wszystkim ukazała się wśród pochmurnego nieba jedna gwiazda biała. Mnie stojącemu w zadumie na tej pogranicznej między dwóch narodów, które przecież już żyły obok siebie przez lata długie w pokoju i zgodzie, a które teraz rozdziałała przepaścista głębia ran zadanych i klęsk poniesionych, to samotne światło niebieskie wydawało się jak gdyby okiem Boga, które z wysoka patrzy, bada i sądzi.“ (Scènes et paysages d'Alsace, par Ereckman Chatrian—1873).

Zaświeciła biała gwiazdka
Przez chmurę śniegową,
Co niemiecka matka robi
W wigilię godową?
Dom niemiecki pełen światła
I łupów zdobyczy,
Niemka siedzi w alkierzyku,
Złote franki liczy.
A przez ścianę wśród świetlicy
Głosy, śmiechy, gwary:
Czeka młody ludek Niemców
Na Chrystusa dary.

— Co nam z gwiazdki—pyta dziewczę,
Na choinkę zleci?
Czy zdobyte lalki wszystkie,
Od francuzkich dzieci?
Lalki, dzbanki, garnuszczyki
Czerwone i białe;
Może nawet będą pieski
I kotezki małe?...

— Będą! będą!.... dumnym głosem
Chłopiec odpowiada—
Bo nasz tatko dzielny rycerz
I wojak nielada.
Sto mil kraju przeplądrował,
Zdobyl góry złote.
Hej kolenda! gwiazdka srebrna
Na niebie migota....
Będziem śpiewać—jeść, pić będziem
Słodki miód i wino,
Niechno korzec złotych franków
Matka zliczy ino....

Zaświeciła biała gwiazdka
Przez chmurę śniegową;
Co francuzka matka robi
W wigilię godową?
Dom francuzki stoi ciemny
Wśród cichej żałoby,
Na rozdołach, bez krzyżyków
Świeże sterczą groby.
A wśród pustki zrujnowanej
Płacze smutna wdowa,
Bladej dziatwy drżąca garstka
W kąciку się chowa.

— Co też—szepcze trwożne dziewczę,
Gwiazdka nam przyniesie?
Może chociaż uzbierała
Gdzie orzeszków w lesie?
Może pod próg do komory
Rzuci bułkę chleba?
Wszakże mały Jezus Chrystus
Dziś zstępuje z nieba....

— Tak—odpowie błądy chłopak
Z jasnymi oczyma—
Bóg dziś zstąpi i zobaczy
Że już tatki niema....
Żesmy biedne na tym świecie
Sieroty zostały....
— To przyleci do nas może
Gołabeczek biały
I przyniesie dar cudowny
Na skrzydełkach śnieżnych....
— Nie.... Pan Jezus przysła kruków
I sępów drapieżnych.
Będą, krążyć nad domami,
Krakać niespokojnie,
A po domach wdowie syny
Będą śnić o wojnie....
Będą słodko śnić, że ciągną
W niemiecką krainę,
Że tam niosą na kolędzie,
Ogień i perzynę!....

Zaszła prędko biała gwiazdka
Za chmurę śniegową,
Co porabia Matka Boska
W wigilię godową?

Matka Boska płacze w niebie
Łzami perłowemi,
Bo jej gwiazdka opowiada
Różne głosy ziemi.

M. Ilnicka.

KSIĄŻKI DLA DZIECI.

(Dokończenie).

Dziecko młodsze otrzymało jeszcze w tym roku kilka książeczek, należących do *Systematycznego kursu nauk* Augusta Jeskiego: *Równiankę*, czyli zbiór powiastek dla dzieci od lat 3 do 7; tomik *drugi Nauki o rzeczach*, czyli *Świat dzieci* od lat 5 do 9, część II; *Wypisy polskie* stopnia pierwszego; *Małą gramatykę języka polskiego* w przerobionem i pomnożonem wydaniu. Książeczki, choć każda z nich jest w sobie zamkniętą i skończoną, należy przecież sądzić głównie, jako części obszernej całości, mającej zawierać kompletny zbiór podręczników dla nauki dzieci i młodzi od lat 3 do 15, i być w ten sposób pomocą w wychowaniu domowem. Już kilkakrotnie pismo nasze wydało sąd swój o *Systematycznym kursie nauk*, który jest bardzo pożyteczną, jedyną w swoim rodzaju u nas, i można dodać wyborną publikacją. Mogą, a nawet ze względu na okoliczność, że jeden pisarz opracowywa wszystkie działy, muszą znajdować się w tej całości wielkiej pewne szczegóły wadliwe, jak to już przy ocenie *geografii stopnia pierwszego* wykazało pismo nasze, zawsze przecież rzecz cała jako pomysł, metoda, a nawet wykonanie jest bardzo dobrą, jest użytku wielkiego i te zacne matki nasze, które same pierwszym wykształceniem dzieci swoich zajmować się pragną, te wszystkie nauczycielki, które rozumieją znaczenie systematyczności w nauczaniu, a które dotąd nie znajdowały w naszej literaturze pedagogicznej podręczników odpowiednich, winny są autorowi wdzięczność wielką. *Systematyczny kurs nauk* trzeba też uważać za dzieło bardzo poważnego znaczenia w rozwoju wychowania naszego, bo nietylko ułatwi naukę tych wszystkich dzieci, do nauczania których użytym został, ale może wykształcić całe pokolenie nauczających—może usposobić matkę i nauczycielkę do sumiennego wywiązania się z obowiązku macierzyństwa i nauczycielstwa. Od bardzo dawna woła społeczeństwo nasze, aby matka, o ile jej pozwolą obowiązki żony i obywatelki, zajmowała się elementarnem kształceniem dziecka, aby w każdym razie, w każdym wypadku była w wspólnie pewnej z nauczycielką czy nauczycielem dziecko jej uczącym, tak przy nauce przedszkolnej, jak szkolnej, to jest stopnia drugiego, głos ten przecież bardzo wyjątkowo był słuchanym, nietylko może z braku dobrej chęci, jak z trudności, które tak wzywana matka spotykała przed sobą. Rzadko kiedy ta z kobiet naszych, której nie kierowano na nauczycielkę, jest obznajmioną z metodą nauczania i nawet będąc sama wysoko wykształconą osobą, nie umie ona stać się dobrą nauczycielką, gdy więc przyszło do nauczania dziecięcia, choćby najbardziej ukochanego, trudy pokazały się wielkie, korzyści mniejsze, niż wtedy, gdy pracę nauczycielską spełniał ktoś, specjalnie do tego uzdolniony. A cóż dopiero z kobietą średnio wykształconą, mniej inteligentną, mniej z naukowym światem obeznaną! Nauczanie przedstawia jej się jak gdyby las straszny, w którym odrobinka własnej nauki nie może uratować od rozpaczliwego błędzenia. Można powiedzieć, że coś podobnego dzieje się z połową niemal nauczycielek. Czy tak być powinno, czy nietylko każda osoba ośmielająca się nosić nazwisko nauczycielki, ale każda kobieta, jako przypuszczalnie powołana w życiu do obowiązków macierzyństwa, nie powinna być uzdolniona nauczycielsko—to kwestya inna, której w tej chwili rozbiierać tu nie można. Zaznaczam tylko fakt, że kobieta nasza potrzebowała w pracy wychowawczej pomocy takiej, jaką *Systematyczny kurs nauk* dać jej może, dlatego dzieło to powinno znaleźć się na półkach każdej biblioteki domowej, i jest to książka która staćby się powinna kolendą nietylko dzieci, jak matek. Ta nawet co sama uczyć nie będzie—nigdy

gwałtem nie nakłaniam mało chętniej, mało uzdolnionej, bo to rzecz za ważną, aby ją pod przymusem opinii, lub dla jakichbądź innych względów spełniać byle jako, gdy powinna być najdoskonalej jak można spełnianą — ta nawet niech *Systematyczny kurs nauk* przejrzy sobie uważnie, a dowie się z niego wielu rzeczy, które pomogą jej do wykonywania obowiązków matki: pozwolą się rozejrzeć dobrze po świecie dziecinnym; nauczą jakim jest umysł młodziutki w potrzebach i pracach swoich; pomogą wreszcie do sprawiedliwego ocenienia, czy nauczanie jej dzieci jest dobrze lub źle, umiejętnie i taktownie, lub błędnie i wadliwie prowadzonym. Zrozumie co to jest w nauce metoda, a niejedna po raz pierwszy na myśl sobie przywiedzie, że rzecz taka istnieje.

Wypisy polskie stopnia I-go są bardzo dobrze ułożone, a wstęp do nich jest wyborną wskazówką, jak z książką obchodzić się należy. Znajdzie tam dziecko więcej jak umiejętnie dobrane wzory stylu i mile zajmujące czytanie. Autor chciał zrobić z ich treści środek rozjaśniający dziecku, odpowiednio do wieku i pojęcia, jakim jest jego stosunek do otaczającego go świata: do Boga, rodziny, nauki i społeczeństwa. Jest to więc zarazem nauka moralności pierwszego stopnia i autor chce tego, jak oświadcza w przedmowie. Wypisy, pisze, powinny zawierać pierwiastek etyczny, wyrabiający moralnie, bo często jest to dla dziecka jedyną szkołą kształcąca go duchowo. Poglądy autora na wychowanie pierwsze, na wychowanie domowe, rodzinne, szlacheckie są i podniosłe, widzi on w tem wychowaniu *fundamenta moralne* dla całej przyszłości człowieka, który rośnie w dziecku i pisze: „Świat zewnętrzny, praca przyszła, wykształca wprawdzie człowieka na specjalistę, ale o poglądy, o stan duszy głębszy, wyższy, zacniejszy, nie bardzo się troszczy szkoła życia.“ Autor żąda aby troszczyli się o to wychowawcy, więc on sam troszczy się już poczciwie, pragnie, aby wtedy, gdy inne działy nauki będą kształcić dziecko *realnie*, wypisy kształciły *idealnie i moralnie*. W zdaniu swoim co do przyszłych wpływów życia, wpływów zajęciowych i społecznych, a tego wpływu, który pierwsze wychowanie mieć powinno na istotę młodą, zbiega się najzupełniej z myślą zasadniczą, umieszczonego niedawno w piśmie naszym artykule, *Rodzina jako stowarzyszenie do szczęścia*. I tam również piszący pragnie dowieść czytelnikom, że wychowanie, rodziny, powinny kształcić jednostkę moralnie, powinny być dla człowieka światem wyrobienia duchowego. Ten świat drugi, w który wstąpi następnie, już podobnej mocy nad istotą naszą mieć nie może, już tam człowiek wyrabia się inaczej i do celów innych. Całokształt moralny już być musi w zupełności uformowanym, praca życia może go jedynie wyszlifować, obrobić ostatecznie, aby dyament rodzinny stał się brylantem i rozblęsnął na zewnątrz całym wewnętrznym blaskiem swoim.

Wzgląd ów etyczny, który przewodniczył p. Jeske przy układaniu wypisów, widny jest w całym *Systematycznym kursie nauk*: w *nauce o rzeczach*, w powiastkach *Równianki*, które są w ogóle bardzo wdzięczne; jaka to naprzykład miła opowiadka zrobiła się z objaśnienia, co to jest strumyk w ekonomii natury i człowieka? Strumyczek opowiedział to sam dziecinie, powiadając ją, jak dużo, bardzo dużo ma do roboty!... Czy bajeczka jest oryginalna czy przyswojona tylko z opowiadań Fröblowskich, nie wiem. Znajduję ją przedewszystkiem bardzo zręczną i nawet odzianą w pewny wdzięk artystyczny, który nie jest rzeczą podrzędną w książce dla dzieci. Zaraz po względzie etycznym, to jest po względzie na *dobro*, powinien tu iść wzgląd na *piękno*, należy bowiem aby wychowanie elementarne położyło również dziecku *fundamenta estetycznego smaku*, który zdaniem mojem jest wielką dźwignią moralną dla ducha ludzkiego. Piękno, szlachetnie pojęte i szlachetnie umiłowane, podnosi z konieczności: nie dopuszcza w nas nizkości, brutalności, odstręcza od rzeczy trywialnych, nieczystych, grubo zmysłowych — uduchowia przez ten artyzm wyższy, który musi jednoczyć piękno z dobrem.

O *Małej gramatyce języka polskiego* pismo nasze wypowie zdanie swoje pod rubryką właściwą, tymczasem zaś streszczając ogólne zdanie moje o *Systematycznym kursie nauk* dodam, że jeżeli autor utrzyma do końca dzieła to, co obiecuje zrobiony począ-

tek, publikacja ta zapewni mu zaszczytne miejsce w szkolnictwie naszym.

Dla zaczynających uczyć się dzieci przygotowuje się też na gwiazdkę pewien zapas gier uczących, które zręcznie poddane przez osobę przewodniczącą, mogą pomódz dziecku do utrwalenia sobie w pamięci pewnych szczegółów nauki, jak dat, nazwy miejsc, osób. Zabawki takie bywają zwykle układane z historii lub geografii, i między innymi L. Bierschenk przygotował na ten cel łamigłówki geograficzne i loteryjkę, urządzoną na wzór zwykłej, w którą dzieci tak nieraz grywać lubią, szczególnie, gdy pula zaopatrzoną zostaje w smaczne orzechy, lub migdały z rodzenkami. Loteryjka geograficzna mogłaby zupełnie w ten sposób być użytą, tylko mapki nie są może dość wyraźne, aby zabawa mogła iść żywo i wesoło, przytem staje się kosztowną, gdy chce się mieć mapek więcej, aby gra stała się istotnie towarzyską. Ale w tej niedogodności kryje się źródło pewnego dla małych graczy pożytku; zaopatrzywszy się w tekturę i farby, można sobie podług widzianego wzoru, własnej roboty loteryjkę wygotować, w czem już tkwi zabawa pierwsza, która nieraz potem w sali szkolnej użytecznie się przypomni. Można również przy pomysłowości pewnej, urządzić sobie takie loteryjki z krajów oddzielnych i nawet zrobić z tego ładny podarek dla przyjaciela lub przyjaciółki, z którymi się potem wesoło do gry zasiądzie.

Obrazy z życia dla młodocianego wieku, przez *Maryę z Łozińskich Popławską* zawierają trzy powiastki napisane gładko, zajmująco i z pewnem umiejętnem obrazowaniem, które interes budzi. Pierwsza: *Sierota*, oparta jest przecież na motywach zbyt może już zużytych i zjadł zblakłych; za to druga, *Stefanek* czy nie za nadto na jaskrawe efekta obrachowana? Śmierć ojca jest dramatyczna i wzruszająca, ale waryacja matki rzuca na nią światło zbyt ponure i przerażające, umysł młodego czytelnika zostaje wprowadzonym w koło okropności i boleści za silnych dla tego wieku. W ogóle powieści drastycznie wstrząsające nawet dla dorosłych bywają czytaniem niezdrowem, smak psującym; dla młodzieży tem więcej powinno się unikać takich środków budzenia interesu. *Stefanek* i bez tego ma dość pierwiastków żywego zajęcia. Trzecia z kolei i ostatnia powieść: *Opuszczona*, łączą w sobie najwięcej warunków pedagogicznych i jest najlepszą—jest bardzo dobrą i ładną powiastką. Dziecko bogate dla tego spotyka kara ubóstwa i opuszczenia, że było kapryśne i przykre dla ludu uboższego, dla ludu pracującego—dla służących. Poczciwi to moral, moral wysokiego znaczenia, który nigdy za wcześnie nie może być przedstawiony umysłowi dziecka, bo ziarno przezeń siane powinno przyjąć się i rozkrzewić dobrze, aby żyło i dawało owoce już w czło-wieku. Stosunek dziecka do sług, to pierwszy nasz stosunek do warst ludowych.

Z domu i ze świata, powieści oryginalnie napisane przez A. S. przedmowa wydawcy zdaje się też przeznaczać dla młodzieży, która się jeszcze uczy, nie sądzę przecież aby takim był cel piszącej. Jest to zbiór moralnie, dobrze, z napisanych powiastek, jakie w zagranicznych piśmiennictwach noszą nazwę noweli, treść przecież przeznacza je widocznie dla panien już dorosłych, już w życiu do pewnego stopnia jako istoty samodzielne stojących, bo traktuje się w nich przeważnie kwestya zawierania tych związków serca, które pospolicie miłością zwiemy, kwestya małżeństwa. Nie chcę przez to utrzymywać, aby wzmianka o miłości była czemś dla młodego wieku szkodliwym i zasługującym na nieodwrotne wykluczenie z książki, którą młodzież ma czytać. Nie, bynajmniej... Jest wiele powieści, naprzykład wszystkie historyczne romanse Walterskota, których bohaterowie kochają się w szlachetnych dziewczach, odzianych całym urokiem miłosnej poezji, a przecież dałabym je wszystkim w ręce młodych czytelników, dałabym je chętnie bardzo. Ale poemat miłości jest tam zawsze tak ujęty w jakiś szeroki prąd ludzkiego życia, jak w bogaty naszyjnik z łańcucha wielu ogniw złotych wprawioną bywa na końcu perła szacowna, drogi i kunsztownie rznęty kamień, pięknego blasku. Wśród różnorodnych a wielkich interesów życia, wśród ich gry wspaniałej i dramatycznej młody czytelnik spotkałby się tam z uczuciem miłości, z którym spotyka się również w rodzinie, w stosunkach towarzyskich otoczenia swego

więc nie może to stać się dla rozwoju jego myśli i uczuć rzeczą szkodliwą, a nawet może być poniekąd dobrą i pomocną. Jeżeli bowiem w powszednim życiu zbyt często słyszy o związkach miłości lekkomyślnej, jeżeli mówią przy nim, a mówić muszą, o małżeństwie jak o targu, o interesie handlowym, nie złego, że młodość mająca się wkrótce rozwinać do pełnego życia uczuć i czynów samodzielnych, spotka się z pojęciem miłości wysokiej, czystej, szlachetnej, przedstawionej w świetle idealnym a podanej zawsze obowiązkiowi jakiejś natury wyższej, jak na przykład dobra ogólnego. Miłość tak się ukazująca w przyszłej perspektywie życia nigdy złe na młody umysł nie oddziała, lecz powtórzy raz jeszcze, że jest względem pedagogicznym wielce ważnym, aby tak, jak w wyżej wzmiankowanych dziełach poety—romanso pisarza, miłość była tylko epizodem, wplecionym w sceny jakiegoś życiowego dramatu, szerszego niż dzieje dwóch serc ludzkich, dzieje dwóch szczęść osobistych. Wtedy nacisk główny nie pada na uczucie, ku któremu nie ma po co zwracać przedwcześnie myśli młodej, wyrwywając ją ze szkoda z naturalnego koła czeń i zajęć młodocianych. Niech pęk tego najpiękniejszego kwiatu jakim jest szlachetny, podniosły, rozumny duch ludzki, nie rozwija się przez forsowanie sztuczne, niech ma raj eichy swej wiosny pierwszej, swój kwiecień idealny, w którym wszystko jest dopiero zapowiedzią i przecuciem, w błękitnej dali zarysowanem zaledwie. Gdy już maj życia przyjdzie, wtedy zmienia się wiele w nas samych i w otoczeniu naszym, wtedy też inne być mogą i muszą głosy, które do nas przemawiają; śpiesząc z radą, przestroga, nauką, kierują nasz zwrok moralny na inne obrazy, inne widoki życia. Książka nosząca tytuł: *Z domu i ze świata* może być i jest bardzo dobrą książką kolenodową dla panien, które już przekroczyły próg życia—już dorosły.

Szczególniej zajmującą jest powiastka: *Pamiętka z Czorsztyna*. Szlachetna postać znakomitego i zasłużonego historyka, która gra w niej rolę, interes czytelnika potęguje. Cień, który w powiastce na postać tę pada, staje się w myśli czytelnika więcej smutnym jak émiącym: chwila w której p: Dominik dawał pięknookiej dziewczynie pamiętkę niezapominajek i listków bluszczowych, ta chwila smętnego wzruszenia, jest razem chwilą w której osobistość uczzonego człowieka staje w prawdziwym świetle, w jakim trzeba go już wciąż widzieć. Przysiągł on wierności jednej, nieśmiertelnej kochance, na wysokich szczytach mieszkającej boskiej Klio, i nie chciał już nigdy ślubu tego potargać, ale czasem serce jego zabiło uczuciem tęsknoty, czasem wabiło go ku sobie słodkie szczęście ziemskie i wtedy uśmiechał się do kwiatków błękitnych—uśmiechał się i uciekał... Marya dobrze zrobiła że bluszcz i niezapominajki z Czorsztyna uważała potem za trochę piękności, która zwiędła, bo nie miała w sobie warunków stałego bytu. Bóg jej dał gołębią mądrość życia, prostą i spokojną, sądzę przecież że niejedno serce młode smutnie westchnie nad losem „samotnika“, który „choć pojmował słodkie pociechy uczucia, skazał się na niezaznanie go nigdy.“ Biedny samotnik!

Dominik Szule należy do najsympatyczniejszych postaci uczzonego i profersorskiego naszego świata.

Szkoda że dwie pierwsze powiastki tak są w rozmowach nasadzone francuszczyzną.— Tak bywa w życiu—ktoś mi odeprzeć może, ale książce wolno wady życia poprawiać, szczególniej gdy niemają rzucać na przedmioty charakteryzującego je światła. Od czegoż by było dziedzina idealna, gdyby powszedni realizm musiał wciskać się doń koniecznie w całokształcie swoim?

Książki kolendowe dla dzieci i wieku młodego muszą dla względów pedagogicznych tworzyć pewien dział osobny, z którego wybierać je trzeba. Podobny, choć inny względ musi do pewnego stopnia przewodzić przy wyborze książek ludowych, dla też pomyślałam sobie, że księgarze i wydawcy powinni by pomyśleć w czasie nadchodzącej kolendy o jednym jeszcze promyku *gwiazdki świątecznej*, o urzędzeniu wystawy książek ludowych. Tam więcej niż gdzieindziej książka jest świętą cznością i powinna być darem Chrystusowym. Kalendarze ludowe poniekąd dopełniają tego; jestto niejako kolenda, którą piśmiennictwo przygotowuje dla klas niższych. Między tegorocznymi wydawni-

ctwami kalendarzowymi znajduje się jeden bardzo dobry, pod tytułem: *Pamiętka z Częstochowy*, wydany w Częstochowie przez p. Bronisława Grabowskiego. Historia Częstochowy i Jasnej Góry dobrze, choć krótko skreślona; kilku wierszyków jest weale udatnych, a powiastki z czeskiego przełożone są wyborne. Szczególniej jedna, wzięta z księdza Hlinki, zasługuje na prawdziwą pochwałę: dramatyczna, żywo się tocząca ma jeszcze tę wielką zaletę, że objaśniając ceremonię religijną zarazem uczy, jak religia powinna być wcielana w życie, stosowana do jego spraw i czynności pod postacią moralności chrześcijańskiej. Gdyby taka *Pamiętka z Częstochowy* zamieniła się w publikację stałą, a częściej niż raz do roku wychodzącą, mogła by się stać bardzo użyteczną, rozchodząc się lieźnie między ludność z różnych stron napływającą na odpusta i święta. W Częstochowie każdy umiejący czytać pielgrzym chce kupić książkę: tania a zajmująca *Pamiętka z Częstochowy* mogła by mieć wielki odyt.

M. Ilnicka.

NIEWIASTA POLSKA W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg.)

Wiejski kościółek.—Prowidencya Czempieńska. —Synonimy.—
Pamiętka po dobrej matce.

Klementyna w Izdebnie była nadworną lekarką; oprócz dwóch lub trzech godzin poświęconych lekeyom z panną Dorotą, pisaniiu dziennika i wyciągów po francuzku, reszta dnia schodziła jej na czytaniu, podczas gdy starościna i jej córki szyły w krosnach. Te czytania w następującym odbywały się porządku: rano po kawie, *Medytacye dzienne*, *Évangiles médité*, *Considerations religieuses*; od jedynastej do obiadu: księgi historyczne jako to: *Robina*, *Millota* i t. p.; po obiedzie: podróże, listy, dzieła *Chateaubrianda*, *Delila* i inne; w wieczór zaś romanse pani *de Genlis*, pani *Cottin*, *Montolieu*, *Ricobani*, *Radcliffe*, *Lafontaine*, słowem jakie tylko podówczas wychodziły.

Tak przeszło dziesięć lat młodej Klementynie; kształcąc się pod takim wpływem, dobiegała czterynastego roku życia. O tej wiosnie życia swego sama Tańska pisze:

„Młode moje lata spływały podobnie jak dziecinny wiek Joasa. Święta, uroczystości kościelne, były przez lat kilka najważniejszymi życia mego wypadkami. W skromnym kościółku wiejskim, w nieludnej parafii, nie wiele było wspaniałości, ale wyobrażenia dziecinna, dodawała czego brakowało! W wielki tydzień naprzykład: nie wiem czybym więcej wiarą przejętą być mogła w kościele s. Piotra w Rzymie, jak w tej drewnianej świątyni. Kiedy ksiądz szedł do zakrystyi z Ukrzyżowanym, pewną byłam, że to grób prawdziwy. Kiedy ustrojono firankami kaplicę i stanęło dwóch chłopców na warcie, z drewnianymi pałaszami, z piórkami pa-wiem i czapek, widziałam w nich żołnierzy Piłata. Pamiętam też jakie wrażenie na mnie zrobiły niektóre wyrażenia dramatyczne tak z ewangelii jak z pieśni. Rozmowy duszy grzesznika, z bolejącą matką Chrystusa, w *Gorzkich żalach*, nigdy bez rozczulenia słyszeć nie mogłam: „Ach mnie matce boleściwej!?” albo: „Co mnie pytasz? wszystkim w młodości! i inne wyrażenia tkwiły mi w duszy, lubo fałszywie, piskliwie, okropnie przez organistę i wiejskie kobiety śpiewane. Kiedy w niedzielę Wielkanocną, szliśmy na rezurekcyę, i ten kościół wczoraj smutny i ciemny, dziś był jasniejącym i ozdoby, nie mogłam się wstrzymać od mimowolnej wiary, że coś istotnie cudownego zaszło, że Chrystus zmartwychwstał! Przekonana jestem, że do wpojenia wemnie wiary, wiele dopomógł ten ciąg świąt i uroczystości, ta zgodność *Pisma* i *Katechizmu*, których uczy-

łam się w domu, z tem, co widziałam w kościele!“ Jak wielkie zmiany zaszły wówczas w kraju, przez wniście Francuzów, tak niemniejsze i w życiu naszej autorki. Po śmierci męża, matka powróciła do Warszawy i stale w niej osiadła, przygarnawszy do siebie rozpierchłą rodzinę, złożoną z trzech córek, z których czternastoletnia Klementyna, drugą była z kolei. Zasoby były szczupłe—zdrowie star-gane; teraz musiała się wzięść do praktycznego życia, w zarządzie gospodarstwa domowego, do igły i nauki najmlodszej siostry. Ułomna od lat dziecinnych, czuła swe upośledzenie kobiece, i to było gorącym bodźcem do nauki i wzbogacenia swej wiedzy, ażeby wykształceniem duchowem górować mogła. Teraz, pod opieką czulej a rozumnej swej matki, nasza autorka dopiero we właściwej sobie zaczęła żyć atmosferze. Umiała ona ocenić całą wartość swej rodzicielki i dokładny jej obraz nam podaje w liście do swej przyjaciółki.

„Znałam (pisze) świętsze, doskonalsze, uczeńsze więcej czarujące kobiety, ale miłszej, praktyczniejszej pobożności i cnoty, tak ujmującego ułożenia i humoru, większego rozsądku, pewno już w żadnej nie zobaczę. Ona tedy nauczyła mnie obejściem. słowami, przykładem, całą sobą, że można być pobożną a razem wesołą i przyjemną, bo nie samo wieczne, ale i ziemskie szczęście jest w cnotcie i nie odpowiadamy za nikogo tylko za siebie. Ona mnie przekonała, że staranność około powierzchowności naszej, jest obowiązkiem, bo od Boga mamy i duszę i ciało; że można lubić i uprawiać nauki, ale będąc kobietą, nie trzeba kłaść ich nigdy na pierwszym miejscu, ani nie móż wyżyć dnia jednego bez książki; a nareszcie ona mi zaręczyła, że wszystkie romanse, to istne bajki, któremi wolno się bawić niekiedy, ale wierzyć im w czemkolwiek, broń Boże! Nie zapomnę nigdy jak odczytywałyśmy razem niektóre i jak jasno wykazywała mi ich przesadę i niedorzeczności! Trafiało się też często, że w miejscach gdzie dawniej płakała, wtedy zwłaszcza przy dowcipie i wesołości starszej siostry, śmiałam się serdecznie. W tem, jak w wielu rzeczach innych, zupełnie mi się oczy otworzyły; zaczęłam poznawać zwyczajną rzeczywistość, a co większa, znajdować w niej upodobanie. Co przedtem zdawało mi się stratą czasu; roboty ręczne, domowe zachody, to wnet w miłą powinność się zamieniło. Nawet co do umiejętności zyskałam nie mało. Czytałam nierównie mniej, ale uczyłam się daleko więcej, a co najważniejsze było dla przyszłej pisarki, polszczyzna zaczęła wchodzić w mowę i w nauki moje. Nie uczyłam się polskiego języka z reguł i nigdy niczego (i dotąd tego dosyć odżalować nie mogę i dla siebie i dla pism moich) nie uczyłam się porządnie.

„Matka umiała po francuzku—inaczej jakżeby mogła żyć lat kilkanaście w wielkim świecie. Ale jako wychowana w staropolskim domu i żona polskiego pisarza, mówiła i pisała lepiej i chętniej po polsku. Prócz tego mieszkała wraz z nią siedmiesięcioletnia jej matka Prowidencya Czempieńska, godna rówiennica kasztelanowej Połanieckiej, która pamiętała wyborne czasy Augusta III. Przy takiej matronie francuszczyzna ostać się nie mogła, a do tego wszystkiego miałam jeszcze siostrę Marynię, sześć lat młodszą od siebie, która chowając się do owej pory przy babce, ani słowa po francuzku nie umiała. Moja matka rozdzieliła staranie uczenia między nas dwie starsze siostry; mnie się dostała religia i historia; bo trzeba wiedzieć jeszcze, żem uchodziła w rodzinie całej za małego Salomona, a między nami mówiąc, miałam się sama za daleko uczeńszą niż dziś, co może i tak było, ważąc naukę z latami. Bądź co bądź, przystąpiłam śmiało i gorliwie do uczenia młodziej siostry, a choć używałam dzieł francuzkich, musiałam jej wykladać wszystko ustnie i na piśmie po polsku, gdyż inaczej nie rozumiała; i taka to była pierwsza słodka przegrzywka, do tych późniejszych pism edukacyjnych, chociaż wtedy autorstwo nie było mi jeszcze w głowie.“

Przywiedliśmy ten list w całości, gdyż on maluje główne żywioły, któremi karmiła się młoda dusza naszej autorki. One też stanowiły następnie watek prac jej literackich, tak cheiwie rozchwytywanych przez czytającą publiczność, a głównie kobiety.

Wychowanie pierwotne w domu starościny Szymanowskiej, życie w tym starodawnym dworze jakkolwiek o wiele już zfrancuziałym, zdrowe rady czciogodnej matki, wreszcie całe otoczenie szczęśliwe

pomimo chudoby: wszystko to odzwierciedla się w jej pismach. Książd Jan Woroniec, późniejszy biskup krakowski a następnie prymas i Michał Wyszkowski, obaj już wykształceni pisarze a przyjaciele zgasłego ojca Klementyny, zapoznali ją ze znakomitszymi pisarzami krajowymi.

Z namowy matki, w końcu 1817 roku, wraz ze starszą siostrą, posłała do redakcji *Pamiętnika Warszawskiego* dwa *Synonimy* z życzeniem, aby mogły być umieszczone.

„Dwa numera wyszły, a naszych dzieł jak niema tak niema (pisze nasza autorka), wstyd straszny! Nareszcie wychodzi zeszyt styczniowy, który, jak mówią, zawiera w sobie zawsze, co redakcyja ma najlepszego. Są i nasze dzieła, wielka radość! Prawdziwie trudnooby mi wyrazić—jak mi razem dziwno i miło było, gdy ujrzała pismo moje drukowane.“

Wstęp więc na pole literackie był wielce pomyślnym, bo bez żadnych starań pracę jej pierwszą Feliks Bentkowski w pomienionem piśmie wydrukował i słyszała pochwały swoich *Synonimów*, chociaż imię ich autora nikomu wiadomem nie było.

Krok to był stanowczy — odtąd zamiar poświęcenia się piśmiennictwu, już niezem odwołany być nie mógł. Po tłumaczeniach zabiera się do samodzielnej pracy.

Jak Łukasz Górnicki z włoskiego dzieła, powziął myśl do swego „Dworzanina“, tak Tańska z niemieckiego dzieła *Jakóba Glatz'a*, także tylko myśl bierze, ale pisze oryginalne dzieło: „*Pamiętka po dobrej matce, czyli ostatnie jej rady dla córki*.“

„W całym tem piśmie (mówi sama) własnego serca słuchać zamysłałam, słowa nie powiem, które-gobym nie czuła, zdania nie przytoczę, o którym bym przeświadczoną nie była, świat opiszę tak, jak go widzę, nie tak, jak go książki malują. O występkach mówić nie będę, bo sama młoda i dla młodości piszę, a ten wiek nietylko, że znać ich nie powinien, ale i niechętnie o nich wspomina.“

Dzieło to doznało najchlubniejszego przyjęcia, i otworzyło dla młodej autorki szerokie stosunki literackie. Wszyscy znakomici pisarze ówczesni otoczyli ją swoją opieką i współzuciem. W licznem ich gronie znalazła zdrową radę i pomoc, której szczególnie potrzebowała, kiedy zaczęła redagować „*Rozrywki dla dzieci*.“

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORIA O JANASZU KORCZAKU I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNI

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

Przeszedł wielki post, nadeszła Wielkanoc i wiosna. W tym roku spóźniona ona była, ale jak zwykle tem szybsza. W oczach, z dnia na dzień zazieleniał świat, popękały drzewa i powietrze nagle ocieplało. Jadzi przypomniała ona dawne lata, wznawiała żal i tęsknotę za przeszłością. Chodziła do ogrodu płakać. Krzyż, którego wystawienia tak mocno żądała, niepokoił ją. Obliczyła się ze swemi pieniędzmi, a miała więcej niż trzydzieści bitych talarów, to jest dwa razy tyle ile na najpiękniejszy krzyż naówczas było potrzeba. Chciała je powierzyć podstaroście, ale ten zajęty był niezmiernie i nigdy się z nim spotkać nie mogła. Postanowiła więc użyć Nikity, który tak kochał Janasza—i wyszpiegowała go po obiedzie gdy stał w ganku, aby z tem wybiedz do niego.

— Mój Nikito—zawołała żywo—mam prośbę do ciebie—wielką prośbę, ale ty o tem nikomu nie mów. Zbliżyła się oglądając.

— Prawda—kochałeś Janasza....

— O! panienko! jak ja jego kocham—odezwał się Nikita.

— Ja dawno ojca prosiłam i proszę: obiecał mi

że dla jego pamięci, żeby się ktoś choć za duszę jego pomodlił, każe na cmentarzu krzyż postawić; ale ojciec zajęty, tyle ma rzeczy na głowie—ja pieniądze dam, ty mi to zrób....

Słuchając Nikita zbladł, zmieształ się nadzwyczajnie, zadumał, nie wiedział co mówić.

Wreszcie po długim namyśle, odezwał się:

— Proszę panienki, to w żaden sposób nie może być.

— Dlaczego?

— Bo Turcy to naród bez czci i wiary. Oni powiedzieli, że umarł, a kto to wie?

— Jakto? — zawołała chwytając go za rękę — ty sądzisz, że on żyje? ty myślisz, że on żyć może?

Zarumieniła się, oczy zaiskrzyły. — Nikicie zrobiło się dziwnie w sercu, żałował jej, ale ust otworzyć nie mógł.

— Co ja wiem, proszę panienki?—rzekł powoli—co ja głupi, prosty człek mogę wiedzieć? Ja sobie tylko tak myślę: albo to jeden raz tak bywało, że kogo za umarłego w jasyrze ogłosili, a potem i w dziesięć lat powrócił. Któż, proszę panienki, nie słyszał o pani staroście Strojnowskiej, której męża Turcy zabrali, no, i ks. Trynitarze nawet, co jeździli z okupem, świadczyli, że umarł, aż on się zjawił, gdy starościna już z drugim żyła mężem?

Gorąco to jakoś prawił Nikita, ale się wnet zmiarkował, widząc jakie wrażenie czyni na Jadzi, że z tego może być bieda—i zafrasował się.

— Ale niech panienka dobrodziejka zlituje się: nie mówi, że takie rzeczy odemnie słyszała — podchwycił prędko — tu we dworze u nas o tem mówić nie wolno. Panby mnie kazał obieć, gdyby się dowiedział.

— A! nie lękaj się — poczęła Jadzia, której twarz się zarumieniła i rozpromieniła — ja ci serdecznie jestem wdzięczna! Turcy kłamią! tak! On żyje, on wróci — ja to czuję, tyś dobry, dobry, poczciwy człowiek, tyś mi życie wrócił. I wyspała mu talarę w rękę.

— Weź to dla siebie, na wesele. Masz słusność! nie godzi się stawiać krzyża, a nuż on żyje? O! mój Boże, toby śmierć wywołało! Jaka ja byłam nieopatrna, a ojciec! ojciec pewnie myślał tak samo; tylko mi nie chciał powiedzieć!

Mógł sobie powinszować dobrego uczynku Nikita, gdyż od tego dnia, od tej chwili, Jadzia z tą myślą że on żyje, przestała modlić się za duszę — zaczęła modlitwy na intencję powrotu, nie możemy zaręczyć czy nie rozpoczęła nowenny do św. Antoniego, patrona rzeczy zgubionych i ludzi zatraczonych.

Nikt w domu nagłej tej zmiany wytłumaczyć sobie nie umiał.—Matka się dopytywała bacznie Jadwisi, lecz nie wydobyć z niej nie mogła, oprócz tego, że w jej duszy świecił promyk jakiejś nadziei.

Złękała się czy nie dowiedziała się Jadzia o Janasz, lecz to było niepodobieństwem. Miecznik skorzystał ze zmiany wprost i otwarcie rając córecie młodzież, której cały spis miał w pamięci; lecz, jak tylko rozmowę tę począł, Jadzia się nachmurzyła:

— Nienaturalna rzecz! — mruzczał — żeby panna w jej wieku za mąż iść nie chciała.

Potajemnie więc przez przyjaciół zachęcał młodzież do konkurów. Zjeżdżali się synowie okolicznych obywateli—lecz Jadzia neliłotściwie obchodziła się z nimi.

Jeden śmielszy gdy słówkiem strzelił, odpowiedziała mu stanowczo — iż za mąż iść nie myśli i gdyby nawet rodzice sobie tego życzyli — będzie ich prosić, ażeby jej wolę własną zostawili.—Drugi prosił o pozwolenie starania się, — Jadzia mu rzekła — możesz się pan starać, ale na wszystko najświętsze zaręczam mu, że czas stracisz — ja za mąż nie pójdę.

Poszło to po sąsiedztwie, a krążąc dojechało do Miecznikowej, którą ta śmiałość Jadzi zdziwiła i zniecierpliwiła. Zaczęła jej to wymawiać.

— Moja matuniu — zawołała Jadzia, niechcecie mnie czynić nieszczęśliwą?—prawda?—pозwólcież mi zostać przy was, jak jestem. Nie chcę i nie pójdę za mąż.

— Ale to być nie może.

— Jeśli mnie kto zmuszać będzie, do klasztoru gotowam....

Matka już nie odzywała się więcej. Ojciec coraz chodził chmurniejszy.—Z sobą o tem mówić unikali. W domu nigdy tak im obojgu obo, dziwnie, przykro nie było. Miecznik uciekał z niego pod różne-

mi pozorami, matka płakała. Rady nie mogli znaleźć oboje.

Sam przed sobą Zboiński mawiał:

— Otóż to tak Pan Bóg za kłamstwo i niewdzięczność karze! Otwarcie postępując, mógłbym być dziewczynie powiedzieć, aby to sobie z głowy wybiła, z żywym borykać się—to jeszcze—a z umarłym....

Mówiliśmy, że Jadzia część swojego wychowania odbyła w klasztorze Brygidek w Lublinie. Przełożona jego, krewna Zboińskich, kochała Jadzię, miała na nią wpływ wielki. Przyszło więc na myśl Miecznikowej u niej szukać rady i ratunku. Chciała, by ona Jadzi wmówiła posłuszeństwo dla rodziców, którzy jej tylko szczęścia pragnęli.

Pod pozorem więc potrzebnych do domu zakupów różnych, szepnąwszy o tem mężowi, który się zgodził chętnie, około Zielonych Świątek, zaczęła się wybierać do Lublina. Jadzia, która jechała także, cieszyła się niewymownie, że zobaczy matkę Aniełę. Pan Zboiński—jak zawsze—sam wybrał konie, dopilnował zaprzęgu, przejechał je kazał przy sobie. Nikite dodał dla straży i w ganku stojąc pożegnał odjeżdżające.

— Ażeby mi Jadzia rozumniejszą wróciła—zawołał śmiejąc się.

W Lublinie także mieli państwo Miecznikowstwo zwykłą swoją gospodę u Izraelity, który się zwał Łosicki, bo niegdy z miasta Łosic pochodził. Był to razem kupiec i właściciel zajazdu, czasu trybunału robiący wielkie interesa, gdyż miał stosunki z deputatami i pośredniczył między prawującymi się i nimi. Łosicki chlubił się, że on więcej spraw wygrywał niż mecenasi najwziętsi.

Gdy powóz pani Miecznikowej poprzedzony przez Nikitę, wjeżdżał do domu, Łosicki z różkiem w ręku, którym wykadził izby, wyszedł na spotkanie ubrany w szabasowy żupan. Rękę miał jedną za pasem, drugą przy jarmuŕce. Z wielkiem zajęciem popatrzał na pannę Jadwigę, znajdując że jaśnie panna urosła i złożył powinszowania z powodu wszystkich szczęśliwie przebytych wypadków.

Dnia tego nie było mowy o udaniu się do klasztoru, gdyż furta wcześniej bywała zamykaną. Naza-jutrz rano Miecznikowa, która miała szczególne nabożeństwo do Drzewa Krzyża świętego, najprzód się udała do Dominikanów. Zjadł dopiero pojechały do Brygidek i konie odprawivszy pozostały tam dzień cały.

Nikita nie miał co robić—poszedł na miasto przypatrywać się splendorom trybunalskim, zaciągającej warcie i honorom oddawanym Marszałkowi.

Dzień był dziwnie piękny, można powiedzieć, że w powietrzu czuć się dawała wesołość—oddychało się nią. Nikita też w dobrym był humorze, a szczególnie bawił się końmi panów deputatów. Postrojone one były, ale mało które dobre. Świeciło się na nich, a pod uprzężą pokaźną, większa część była kaleków. Nikita sam dla siebie postrzeżenia czynił.

— Ściga się. Spleczony, bez nóg, i t. p.

Nagle oczy podniósł, wlepił je i stanął osłupiały. W lichej odzieży, przy szabelce ladajakiej, w czapczynie wytartej, ale dziwnie pańsko wyglądający szedł młody mężczyzna z papierami pod pachą, obok drugiego otyłego czerwonego, z zaiskrzonymi oczyma, który chociaż w ulicy, głośno wrzeszczał i rękami wywijał, jak wiatrak skrzydłami.

W młodym aplikancie poznał Janasza, lecz oczom niechciał wierzyć. Zdawało mu się niepodobieństwem, ażeby to on mógł być. Poruszony wielce podbiegł i pochwycił go, gdy już do gmachu trybunalskiego się zbliżał.

— Panicz!—zawołał na głos.

Janasz się odwrócił.

— Nikita! co ty tu robisz?

W tem czerwony towarzysz posunął się jakby chciał umknąć. Janasz zawołał — czekaj tu na mnie i poszedł go doganiać. Razem z nim weszli do gmachu.

Nikita stał, popychany ze wszech stron.

— Co tu teraz począć? myślał, hm? Chwilę nie było Janasza, który natychmiast zjawiwszy się, Nikity w tłumie szukać zaczął.

— Nikita, co ty tu robisz? bracie! jakżem ja szczęśliwy. Bóg mi cię zesłał. Mów mi o nich!

W ulicy rozmówić się nie było podobna, skręcili

ne. Oprócz tego na obligach miał Korczak ze trzykroć sto tysięcy złotych bardzo pewnych. Testament był prawomocny, pokrewieństwo czyniło go ze wszech miar ważnym.

Myliłby się jednak ktoby sądził, że to Janasza uczyniło szczęśliwym. Przyjął obojętnie łaskę losu, jakby zniósł cios jego.

Po odprawionym pogrzebie, który z woli nieboszczyka był jak najskromniejszym, Janasz pozostał w oczyszczonej murowance, nie wiedząc spełna co począć z sobą. Do gospodarstwa niewiele miał ochoty, poczet teraz mógł sobie wystawić jaki chciał, pragnął też Zbylutowskiemu podziękować, który był w istocie tego szczęśliwego wypadku mimowolnym twórcą — i w tym celu wybrał się do Krakowa.

(Dokończenie nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

przez J. I. Kraszewskiego.

(Dokończenie).

Mniej przejęcia się francuszczyzną czuć w oryginalniejszym nieco, zręcznym, utalentowanym p. J. B. von Schweitzer, który berło przewodcy jakiejś frakcji socjalistów, zamienił na pióro dramatycznego autora. Schweitzera świeżo grano z powodzeniem na teatrze Wallnera w Berlinie, komedję trzy aktową „Darwinianie“.

Główną w niej rolę, komiczną istotnie, gra typ czysto miejscowy, niejakiego Roschermanna, człowieka, który ze wszystkiego stara się zrobić *Geschäft*. Takich Roschermannów mamy tu mnóstwo.

Darwinizm temu spekulantowi wydaje się, przy swej popularności, doskonałym materiałem do zrobienia niezłego interesu. Darwinizm w modzie, obudza ciekawość, możnaby więc urządzać odczyty o Darwinizmie, ale z całym przyrzędem zwiększającym *great attraction*, to jest z obrazami mglistymi, fotografiami, oświetleniem bengalskim, muzyką i baletem, jako wyrazem ostatecznym rozwinięcia człowieka pod względem gimnastycznym i estetycznym! Ale żeby interes poszedł, Roschermann oprócz własnego pomysłu potrzebuje dwóch, co najmniej, współników: powagi naukowej człowieka, co by dał imię swoje — i kapitalisty, któryby łożył na koszt. Odkopuje pierwszego w profesorze Hallerze, głęboko przejętym nauką nową, a drugiego w niejakim baronie de Chatillon, starającym się o rękę bratowej profesora, którego proteguje matka jej, tajna radezyni von Wallau. Postacie są komiczne, ale sztuka cała więcej polega na „sytuacjach“ przypadkowych, niż na rozwinięciu charakterów. Płochosć barona de Chatillon, dostarcza materiału do zagmatwania. Miłostki jego przeszeła i terazniejsze, dobroduszość uczonego profesora, zabiegliwość spekulanta, umiającego korzystać ze wszystkiego, fotografie dwudziestu kilku małych i dwudziestu kilku zbyt dekoltowanych dam, bransoletka ofiarowana pięknej modystce, która ją z oburzeniem odrzuca, sprrowadzają *qui pro quo* i z nich wysunęte sceny komiczne. Niema w tem myśli głębszej, ani nawet obrazu obyczajów czasu, z wyjątkiem szacownego typu Roschermanna, który jest płodem czysto niemieckim i zupełnie współczesnym. Od wiedeńskiego krachu tylko ci Roschermanowie-Barnumy stracili dużo na zaufaniu i wziętości.

Od teatru przejdźmy teraz trochę do literatury. — Znany literat Rudolf Genée, wydał książkę, która by i u nas naśladowaną być mogła z korzyścią i zastosowaną. Nosi ona tytuł *Wieczorów poetycznych*, (Poetische Abende), a zawiera wybór poezji, do deklamacji, czytania i wprawy w piękne wygłaszanie. Autor poprzedza je uwagami o deklamacji właściwej każdemu rodzajowi. Sam wybór jest bardzo umiejętny i dobry, systematycznie i ze smakiem wykonany. Pierwszy wieczór zawiera poetów dawniejszych niemieckich, a raczej tylko szkołę pierwotną, bo imiona nie sięgają daleko w przeszłość. Są tu poezje Herdera, Chamisso, Eberta, Schenkendorfa, Goethego i Rückerta. Następne

dwa obejmują Platena, Ramlera, Klopstock'a, Goethego, Kosegartena, Hölderlina (naśladowanie form greckich). Czwartą, naśladowanie form włosko-hispańskich. Piątą i szóstą, ułamki dramatyczne od Lessinga począwszy, Schillera, Goethego, Schlegla (przekład Shakspeara), aż do H. von Kleista. Następują ballady niemieckie, poezja dydaktyczna, elegie i t. p., potem pieśni, opowiadania i rozmaitości. Wiele tu pomieszczono rzeczy bardzo znanych i powszechnie w Niemczech uznanych za arcydzieła, jak Schillerowski Dzwon, Nurek; Bürgera Lenora i Dzikie łowice; Nathana: opowiadanie o trzech pierścieniach (Lessing) — sceny z don Carlosa i Ifigenii, ale obok tego są bardzo piękne a wydobyte niemal po raz pierwszy z zapomnienia utwory. Jak piękny zbiór tego rodzaju moglibyśmy mieć, począwszy od pieśni starych kościelnych Kochanowskiego, Sępa, aż do Mickiewicza i Krasińskiego! Lecz potrzeba do tego umiejętnej ręki, może umiejętniejszego jeszcze komentarza, ażeby te perły oprawne właściwie, ocenionemi zostały. Niemcy rozpoczynają swą poezję z XVIII wieku, my byśmy w XVI wieku już znaleźli pieśni, wcale do dziś dnia nie przestarzałe.

Zdaje się, żeśmy już tu wspominali o Berlińskim stowarzyszeniu „Lette-Verein“, mającym na celu wykształcenie, wzajemną pomoc i opiekę kobiet nad sobą samemi. Rozwija się ono bardzo szczęśliwie i bujnie i godnemby też było naśladowania. Pani sekretarka stowarzyszenia Jenny Hirsch, jest zarazem redaktorką miesięcznego pisma *Der Frauen-Anwalt* (które już piąty rok wychodzi) poświęconego obronie praw i interesów płci — dawniej piękną zwanej. Numera te wydrukowane zostały we własnej drukarni stowarzyszenia, w której zecerami i pracownikami są kobiety. Treść pisma odpowiada założonemu celowi i jest zajmującą i naukową.

Romans historyczny na sposób Samarowa, osnuty na współczesnych dziejach i zużytkowujący anegdotyczny materiał z pamiętników i dzienników — kwitnie. Forma ta użyta jest czasem zręcznie, częściej bezwstydnie wyzyskaną tylko. Imaginacja, gdy jej właściwe studia nie wiodą, gdy sobie cugle puści, dokazuje jak swawolne dziecko.

W tym rodzaju, ale nie bez pewnych studyów i nie bez talentu, jest Otto Mylius, znanego novelisty *Testament z wyspy S. Heleny*, zawierający historję Ludwika Napoleona, od dzieciństwa jego do dnia drugiego grudnia 1851 r., to jest do stworzenia cesarstwa. Była szczególną starannością obrobiony jest przypadek strasburski, do którego też materiału nie brakło.

Novelle krótsze są właśnie w modzie, chociaż w tym rodzaju nikt Heysego prześcignąć nie może. Zbiórów takich krótkich powieści wielkie wychodzi mnóstwo, ale większa ich część jest tylko przedrukiem rozproszonych po pismach peryodycznych.

Za życia jeszcze miłego poety i humorysty niemieckiego, dyalektem plat-deutsch piszącego, Fritza Reutera, którego opowiadania i u nas by wielkie miały powodzenie, gdyby je kto umiał przełożyć — p. Otto Glagau wydał o nim i jego pismach rzecz zajmującą. Była ona wszakże niepełną i niedostateczną. Po zgonie poety przerobiona i rozszerzona biografia ta, do której dołączono listy jego i wiele wiadomości nowych — wyszła teraz w drugim wydaniu, bardzo starannem. Polecić ją możemy jako wyborną, a sama postać Reutera jest bardzo sympatyczną. Dlaczego by ktoś nie przetłomaczył nam *Ut de Franzosentid?* Więcej by to daleko wartem było niż tuzinkowe powieści, bez żadnej artystycznej wartości, których się tyle przekłada. Francuzi nawet mają kilka obrazów Reutera, z talentem przełożonych na swój język. Śmierć dopiero skromnego tego człowieka, dała poznać cały szacunek, jaki w Niemczech ogół do jego prac przywiązywał.

Pani Jenny Piotrowska (nie jedno to imię polskie spotyka się w literaturze niemieckiej) przetłomaczyła Pascarel'a przez *Ouida*. Z pań, które się w Wiedniu dały poznać, jako czynne powiastnice, ciekawy zbiór wizerunków, typów i sylwetek literackiego wiedeńskiego świata (przez Don Spavento) trzy przywodzi: — panią Christen, hrabinę Wickenburg-Almasy i pannę Lodoiskę von Blum.

Pierwsza z nich jest autorką bardzo oryginalnych, śmiałych: „*Poezji zatraconej*. — *Z popiołów i Cieni*“. Piękna forma i wykończenie nie mniej je odznaczają, jak nadzwyczajna w niewieściach pieśniach

siła i śmiałość. Don Spavento powiada o niej, że to problemat psychologiczny, na którego rozwiązanie, trudno się skusić nawet. Przyznaje jej miejsce poezystne na niemieckim parnacie.

Pani hrabina Almasy słynie z bardzo pięknych przekładów, szczególnie Alfreda Musseta, — ale dowcipny portrecista ma jej wiele do zarzucenia i obchodzi się z nią dosyć surowo. — Na ostatek panna Lodoiska von Blum (E. von Waldow), należy do zwolenniczek emancypacji. Z tego powodu biograf cytuje dowcipne słówko hiszpańskiego dziennikarza Don José de Lara, który powiedział miał, że emancypacja kobiet jest wyzwoleniem mężczyzny z pod panowania niewieściego.

„Dla tych kobiet — mówi dalej — o jakich marzy panna Blum, żaden mężczyzna nie popełni szaleństwa — nikt nie poświęci serca, nikt nie odda życia!“ Nieznane nam są pisma panny Lodoiski Blum, ale z sądu o nich widać, że wydała wiele powieści w duchu nader *postępowym* (?) pisanych i dosyć excentrycznych. — „Panna Blum — kończy nasz portrecista — jest niezmiernie utalentowaną, prawie genialną i mężną pełną autorką — będącą na błędnej drodze. Kiedyś pozna to ona sama i dopiero naówczas — czytelnicy, będą mogli piękny jej talent sprawiedliwie ocenić.“

Hrabiny Wickenburg-Almasy, o której wspomniano wyżej, wyszedł właśnie niesmaczny poemat wierszem białym „Graf von Remplin“, malujący przygody dziwaka, który niby przez miłość dla sztuki, poświęca się całej teatrowi i na czele towarzystwa dramatycznego, nadzwyczaj jaskrawo tu odmalowanego — puszcza się na przygody, tracąc w śród tego życia majątek, zdrowie, spokój — wszystko... Obraz sceny tej jest dziś anachronizmem, a cały poemat czyni wrażenie bolesne, przykre, niemal odrażające. Utwór to nieszczęśliwie chyby.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Nieobecny. — Obrazek dramatyczny, w 1 akcie, przez Manuela. — **On będzie moim.** — Komedya naśladowana, w 1 akcie, przez K. Kaszewskiego.

Obrazek dramatyczny pod tytułem: „Nieobecny“, powinienby służyć raz na zawsze za wzór kierownikom sceny, jak dalece różni się często utwór poetyczny czytany, od takiegoż utworu przeniesionego na scenę. Wszystko: myśl, akcja, pathos, czyniące w czytaniu pewne wrażenie, na scenie nie tylko giną, ale wywierają efekt wprost przeciwny oczekiwanemu. Poeta francuzki, autor „Nieobecnego“, zasłynął w ostatnich latach z cyklu podobnego rodzaju opowiadań dramatycznych, których bohaterami była zawsze klasa małomieszczkańska lub rzemieślnicza, ale to, co na gruncie ojezystym zyskuje niezmiernie na wartości, w samej już tendencji i w odtwarzaniu typów z klasy ludzi rzeczywiście istniejących — tu u nas, gdzie żaden z tych warunków nie istnieje, — przechodzi nie tylko bez znaczenia, ale wprost nuży i męczy.

Przypuściwszy nawet możebność wyrafinowanej zawziętości w takim małomieszczczaninie, jaki gra główną rolę w „Nieobecnym“ i takiej jego żony, kobiety obdarowanej delikatnością uczuć, dochodzącą aż do przesady; — to jeszcze cała walka uczuć którą staczają ze sobą, stary despot rzemieślnik i żona jego, w chwili gdy przybywa z Ameryki wdowa po nieboszczyku ich synie, z małym pozostałym wnukiem, wydać się musi każdemu nienaturalną i wyrachowaną na drażnienie nerwów. Widzowie nie czują się wzruszonymi ale zmęczonymi i rozdrażnionymi; prawdziwe wzruszenie nie ogarnia ich, bo ani na chwilę uwierzyć nie mogą ani w prawdę istnienia takich ludzi, ani w prawdę takiej zawziętości w tym starym tyranie domowym, który nawet na wieść o śmierci syna jedynaka nie mięknie bynajmniej, ale się bardziej jeszcze zasklepia w swej mizantropii.

W „Robotnikach“ syn przebaczywszy ojcu, wybłagał i u matki przebaczenie dla niego; — tu, matka i synowa długo błagają nadaremnie, i dopiero widok małego wnuczka, podobnego najzupełniej do nieboszczyka syna, kruszy twarde jak kamień serce

starca. Bądźco bądź i jakkolwiek nie znamy klasy rzemieślniczej paryżkiej, wnioskować jednak możemy ze stanu ich ukształcenia i z samej natury ich pracy, że we wszelkich uczuciach głębszych są daleko prostszymi, że raczej są gwałtowni aniżeli zakłopotani, że idą zawsze za pierwszym, złym lub dobrym popędem, ale nie bawią się w monologi i refleksje subtelne, że mogą w przystępie gwałtownego gniewu popełnić zbrodnię, ale że się z nią po hamletowsku nie noszą. W „Robotnikach” jednak łatwiej mogliśmy sobie wytłumaczyć nieubłagalność żony, która maż żył i gnębił całe życie, którą unieszczęśliwił pijaństwem i porzucił zupełnie, aniżeli w „Nieobecny” gniew ojca do jedynaka *nieobecnego*, nawet wtedy jeszcze gdy ten zmuszony tułać się po świecie, zgasł daleko od kraju i od rodziców.

Nie więc dziwnego, że sztuka ta niemoże mieć powodzenia, i załować tylko trzeba niepotrzebnego trudu tłumacza i pracy artystów. Odegrana była starannie i poprawnie, ale mimo usiłowania artystów a zwłaszcza p. Królikowskiego, nie da się ocalić to, co niema samo w sobie warunków bytu.

Bezporównania milej oddziaływała na publiczność komedia jednoaktowa pod tytułem: „On będzie moim” w przerobieniu czy naśladowaniu p. Kaszewskiego (drukowana niegdyś w „Bluszczu”).

Charaktery jasno nakreślone, sytuacja szczerze komiczna, dialogi wesołe i zręczne, rzecz sama rozwijająca się z rzetelnym wdziękiem, a nareszcie gra artystów wyborna — i czegoż tu jeszcze żądać więcej?

Wszyscy artyści grali po mistrzowsku. Pan Ostrowski złotym swym humorem bawił wszystkich; p. Tatariewicz lekkością i wdziękiem salonowym, okraszonym prawdziwą komicznością, łączyli się harmonijnie z p. Romaną Popiel, która lubo wzięła rolę po znakomitej s. p. Bakałowiczowej, umiała jednak być najzupełniej oryginalną i samodzielną.

Dodać też trzeba, że praca p. Kaszewskiego nader umiejętna, przyczynia się niemało do uwydatnienia dobrych stron samej sztuki. Takich komedii i takiej gry artystów, potrzeba zawsze jak najwięcej, jeżeli się chcemy bawić doskonale a nigdy nie zapominać, że jesteśmy w dobrym towarzystwie.

E. Lubowski.

ROCH MUZYCZNY,

(Dalszy ciąg).

Seryę koncertów dawanych przez obcych wirtuozów, rozpoczął pan Féri-Kletzer dwoma koncertami danymi w Resursie Obywatelskiej. Sprawozdanie o nich jest znów dla nas jakby Madejowem łożem, lub drogą uszaną kolcami, po której stąpać fatalnie trudno, bo się na każdym kroku stopa kaleczy. Z bytnością państwa Kletzer w Warszawie, łączy się wspomnienie wielu chwil mile razem spędzonych — wszakże powinnością nawet przyjaciół, nie tylko znajomych, jest przedewszystkiem nie zaprzeczać swego zdania, najlepiej więc uczynię, gdy odniesione wrażenia z gry pana F. K., z całą szczerością według chronologicznych dat objaśnię.

Imię P. Féri-Kletzera nie było nam znanem. Co więcej, po pierwszych ogłoszeniach o przyjeździe artysty, zapytywałem ludzi specjalnych, to jest wiolonczelistów o nie — kilku mi odpowiedziało, że pierwszy raz imię to o ich ucho się obija. Fakt ten na pozór nieznaczący, świadczy jednak, że rozgłos zrobiony w dziennikach tutejszych przed pierwszym koncertem, był niejako uczyniony *ad hoc*, może tylko na wiarę niektórych pism zagranicznych. Rozgłos ten jednak zaciekał nie mało szczupłe grono tutejszych muzyków, zaproszonych do słyszenia pana F. K., na prywatnym wieczorku przed pierwszym wystąpieniem. Wrażenie, jakieśmy wówczas wynieśli, było niezdecydowane. Wiele rzeczy nam się podobało, — szczególnie drobne pieśni grane z uczuciem i na pięknej wiolonczeli; — na wrażenie salonowe było tego prawie dosyć — lecz zostało pytanie: czy gra artysty okaże się dość technicznie wyrobioną, dość potężną jednym słowem, by rozgłos nadany jej zupełnie usprawiedliwić? Koncert pierwszy, dany w kilka dni później, cokol-

wiek nam się nie podobał wyborem programu. Były tam rzeczy zajmujące, były wdzięczne pieśni Schumanna, „Suite” Bacha, — ale nie było tej podstawy, owej *pièce de résistance*, jak mówią Francuzi, słowem jakiegoś dzieła wielkiego, któreby od razu ukazało nam w pełnym świetle koncertowe siły artysty. Koncert Goltermanna, dzieło prawie trzeciorzędnej trudności, było tym najgłówniejszym numerem koncertu. Słuchając go, znajdowałem się w prawej części sali, gdzie nie zawsze słychać dobrze, szczególnie, gdy sala nie jest napełniona. Zdało mi się, że dostrzegam niektóre usterki w intonacji, — wszakże, mimo że ogólnie zarzucano artyście tę wadę po koncercie, nie śmiałem jej nadawać wielkiego znaczenia, zwłaszcza, że wieść w kilku pismach ogłoszona o zbyt niskim (a więc nie dogodnym dla wiolonczeli) stroju fortepianu, mogła służyć poniekąd za usprawiedliwienie chwilowego zachwiania się pewności wirtuoza. Mimo wyżej powołanych względów osobistych, niepodobna nam nie zdać sumiennie sprawy z wrażenia, jakie na nas wywarło wykonanie „Koncertu Lindnera” na drugim publicznym wystąpieniu pana Féri-Kletzera w sali Resursy Obywatelskiej.

Dzieło to wielkie i trudne, wykonane było tak źle, tak fałszywie, passażę i wszelkie trudności tak były zamazane, że dopiero wtenczas poznaliśmy, jak sami byliśmy w błędzie co do natury talentu pana F. K.; poznaliśmy niestety, że gra ta na publiczną produkcję zupełnie się nie kwalifikuje. Ostateczne to wrażenie, któremu broniliśmy się długi czas uparcie, — cokolwiek się wprawdzie łagodzi widocznym dla wszystkich, a nam tem bardziej wiadomym stanem niezdrówia artysty w tym dniu; wszakże nie śmiemy już przypuszczać, aby się to wrażenie kiedykolwiek w sposób stanowczy odmienić dało.

Tą przydługą opowieścią zmuszony byłem poniekąd znudzić czytelniczki moje, najprzód dla usprawiedliwienia siebie, powtóre, z powodu owej nieprzepartej gadatliwości pióra, która mię zawsze napada, ilekroć przez czas dłuższy wstrzymam się od pisanania.

Jakaż to więc straszna przyszłość czeka cierpliwie czytelniczki niniejszego artykułu, gdy się dowiedzą, że materiał nasz sprawozdawczy i w połowie nie jest jeszcze wyczerpanym — przez ileż to numerów Bluszczu z utęsknieniem wyglądać będą wyrazu: *koniec*, lub, co prędzej przypuszczać należy, opuszczać mnie w połowie przebieżonej mety i przejdą do *porządku dziennego!*

Lecz nie traśmy nadziei. Może znajdę przedmiot zdolny nie tylko zatrzymać uwagę czytelniczek moich, ale *przykuć* je potężnym magnesem; przedmiot, dla którego nikt na świecie nie może pozostać obojętnym — ani wy, piękne czytelniczki moje, ani tem bardziej wy, niepiękni czytelnicy! Czarodziejski ten przedmiot zamyka się w jednym wyrazie *kobieta*. Tak jest, o kobiecie pisać zamierzam, o tej, która jest bardziej kobietą niż wiele innych kobiet, w której kobiecość podniesioną jest niejako do drugiej potęgi.

Taką *kobietą-artystką* jest pani Anetta Essipów. Wiele słyszałem kobiet wirtuozek — i wyznaję, że prawie żadna z nich nie uczyniła na mnie sympatycznego wrażenia. Dlaczego? bo każda chciała być mężczyzną. Zdumiewała siłą, zadziwiała mechanizmem — oto było ich zadaniem — czarować żadna nie umiała... przepraszam, nie *chciała* tylko. Te które chciały, zostawiły w mej duszy niezatarte wspomnienie i to przekonanie, że kobieta ma w sztuce swój wydział, swoją szpiżarkę, w której może gospodarować swobodnie, nie lękając się współzawodnictwa mężczyzny. Taką też komórkę obrała sobie za punkt wyjścia swej działalności pani Essipów. Ta komórka, to jakby sanktuarium, gdzie ukrywa się tajemniczy jakiś promień słońca, jakies piórko anielskiego skrzydełka, słowem jakiś talizman, który kieruje wszystkim, nadaje wszystkiemu jedność tonu i kolorysty. Olbrzymi mechanizm pani Essipów pozwala jej wyruszyć śmiało na wędrówkę po szerokich polach; nie lęka się ona ani Liszta, ani Beethowena; a przecież we wszystkim co gra, czuć wpływ tej tajemniczej komórki, gdzie jest ukryta wola, co wszystkim włada. W najzawikłańszych trudnościach potężnego koncertu Heuselta, znać wpływa talizmanu, co „moc bezrozumna na uwięzi trzyma”; pani Essipów nie pozwoli ani

swej duszy, ani paleom, miotać się zbyt — wszędzie jakaś anielska pogoda króluje nad namiętnościami — wszędzie słońce świeci i ptaki wesołymi trzepocą skrzydełkami. A dopiero gdy w wesołej Rapsody Liszta, w Menuecie Schuberta, w mazurku Leszetyckiego lub w Gawocie Silasa, zatętni ów rytm pełen delikatnego życia, ów takt, którego kobiety w towarzyskim życiu wyłączną tajemnicę posiadają; wtenczas cała niejako moc talizmanu oświeca zjawisko — wtenczas cała indywidualność artystki z wdziękiem nieporównanym odsłania się przed nami — rączka tak zręcznie podnosi się i spada na klawisze, jak gdyby to jaskółka musnęła wody powierzchni, a tak zarazem jędrnie i stanowczo rytm jest oznaczony, że dusza „wtórzycie pragnie w takt pieśni!” Albo czyż można wymarzyć piękniejsze cacko, jak Pierwszy Nokturn Fielda? Ta szlachetna prostota frazesu, ta doskonała trzeźwość w cieniowaniu, te subtelne spadki głosu, drobne koronki zdobiące myśl muzyczną: to wszystko jest niepodobnym do naśladowania. Nokturn ten jest własnością pani Essipów, tak jak Trzecie Rondo Mozarta, należy niezaprzeczenie do Rubinszteina Antoniego, tak jak etuda tercjowa Szopena bezsprzecznie należała do Tausiga i zstąpiła z nim do grobu!

Lecz — wyraz złowrogi, ale zjawić się musi. Ludźmi jesteśmy i wszystkie wzniośle roboty nasze, wszystkie zapały i wszystkie porywy naszej maluczkiej siły — toczy u spodu ten mały, złośliwy robaczek, owo niewinne słówko: „lecz, ale”...

Pani Essipów nie zawsze umie się wtajemniczyć dostatecznie w ducha dzieł Szopenowskich. Mówimy *nie zawsze*, gdyż nietylko świetnym odegraniem koncertu E. moll, oraz kilku drobniejszych utworów, pozostawiła nam wspomnienia w tej mierze znakomicie dodatnie, ale sam rodzaj jej talentu, w którym wdzięk łączy się tak umiejętnie z podniosłością i prostotą stylu, zdaje się powoływać artystkę, w niedalekiej może już przyszłości, do zajęcia zaszczytnego miejsca między dobrymi wykonawcami Szopena. Życzyćby tylko należało, aby p. Essipów spotkała się na drodze swego życia z dobrą tradycją i w tej skarbnicy z uszanowaniem i skromnością czerpać zechciała. Dotąd mimo wyżej wymienionych sympatycznych właściwości swej gry, pani Essipów w niektórych kompozycjach głębszej treści, a szczególnie Szopena, zatrzymuje się niejako na powierzchni; struna głębszej boleści nie drga jeszcze. Sam wybór utworów zagranych na drugim koncercie, jak również ich wykonanie, o tem świadczą. Nokturn *b moll* nie należy do najpiękniejszych; a szczególnież zaraz po cudownie odegranym nokturnie Fielda stracił wiele; był on zagrany bez tej melancholii, jaką jest przesiąknięty — w stylu raczej salonowym i eleganckim (mówiąc nawiasem — w drugim to już nokturnie Szopena spotykamy ze strony p. Essipów winę zadziwiająca — mianowicie brak pamięci; dowiodły tego omyłki robione w basowym akompaniamencie, przy powrocie do pierwotnego tematu); w tymże samym stylu wybraną została etuda *f dur* i preludium *es dur*. Drugiej etudy zapowiedzianej na afiszu artystka nie zagrała — zaś wykonanie preludium *a dur* dziesięcio-taktowego, prawie za małe lekceważenie wzięsby można. W bogatej skarbnicy Preludyi i etud, nierównie lepszy wybór zrobić było można. To samo powiemy i o Polonezie *es moll*, który jakkolwiek piękny, mógł być zastąpiony z korzyścią jakim innym, zwłaszcza że w wykonaniu jego dawał się czuć także brak tradycyi, szczególnież w środkowej jego części, wziętej za ostro i zbyt już rytmicznie. Mazurek *as dur*, za często już grywany, również dość suchym oznaczony był rytmem.

(Dokończenie nastąpi).

W JAPONII

PRZEZ

S. Maksimowa.

„...Stoimy na kotwicy przed Chakartale już od kilku godzin: zapomnieliśmy już o brzęku łańcuchów kotwicznych. Japońscy sternicy zupełnie nam bez-

użyteczni, dla zwyczaju jedynie i na mocy traktatu putyatynskiego wprowadzający do portu, opuścili nasz parostatek. Dokładnie ocenijac pozycję naszą w obec wielkiego, ożywionego i oryginalnego miasta, szczególnie po jednostajnych i nadzwyczaj nudnych przystankach w portach Oceanu wschodniego, gorzejemy żądzą jak najprędszego zwiedzenia tej miejscowości i poznania jej we wszystkich szczegółach. Niecierpliwosc nasza wzrosła niepomiernie i stała się zaledwie możebną do zwalzenia, gdyśmy usłyszeli oświadczenie oficera, mającego prawo wywieszania bandery, że na zwiedzenie miasta mamy jedynie do rozporządzenia cztery doby. A tymczasem nie możemy w żadnym razie wylądować na brzeg, gdyż nie otrzymaliśmy jeszcze potrzebnej do tego łodzi, a prócz tego oczekiwac musimy na parostatku zwykłego pojawienia się japońskich urzędników komory, przybywających z powitaniem, albo raczej z podejrzeniem: czyśmy czasem nie przywieźli z sobą uzbrojonego wojska, znacznej ilości armat i ludzi. Az do przybycia urzędników zadawalniać się musimy spostrzeżeniami czynionemi zdaleka, a dokonywamy tego z wielką przyjemnością, gdyż w samej rzeczy po przed naszymi oczyma, na spadzistości wysokiej przybrzeżnej góry roztacza się wiele oryginalne miasto. Zewnętrzny jego widok niema nic wspólnego z tem wszystkim, cośmy dotychczas znali i widzieli. Nie widać tu niczego coby przypominało znajome nam dobrze miasta wschodnio-europejskie a specjalnie rossyjskie. Przeźród oddzielająca nas od tej miejscowości, jest wcale nieznaczna, tak że z łatwością mogliśmy zobaczyć i ocenić wiele rzeczy, lecz w istocie widzimy jedynie dom europejskiej struktury, górujący nad całym miastem, postawiony na wzgórzu, piękniejszy i wygodniejszy od wszystkich innych. Ten budynek jest własnością konsula rossyjskiego. Tego, co się poza nim i w dole znajduje, pomimo największych wysileń ocenić i rozebrać nie jesteśmy w stanie; masa jakichś oryginalnych i dziwny pozor mających budowli miga się w oczach i zlewa w coś zagadkowego, czemu się dokładnie przypatrzeć niepodobna nawet okiem w lunetę zaopatrzonem. Dom konsula przypomina nam znane dobrze widoki; z tej to przyczyny szukamy wzrokiem tych budowli wznoszących dumnie wierzchołki swoje i wieżyczki, któremi przepelnione są wszystkie miasta europejskie i azyatyckie. Sądziłiśmy, że niema na świecie miasta nieposiadającego podobnych budowli i cieszymy się z nowego znajomego, któremu los dozwolił wyswobodzić się od rutyny. Ani minaretu, ani cerkwi, ani rzucającego się w oczy wspaniałego domu jakiegoś bogacza nie spostrzegamy tutaj. Nie możemy też jeszcze wygłosić żadnego zdania o tem mieście na podstawie spostrzeżeń gdzieindziej dokonanych, tracimy mimowolnie nie przewodnią i wszystkie te wskazówki, z pomocą których dawniej wytykaliśmy sobie ścieżki i zabezpieczali przejścia. Patrzymy na nieznane miasto i myślimy: gdzież podziła się konieczna w każdym rossyjskiem mieście cerkiew katedralna, zazwyczaj najstarsza ze wszystkich, jakie w danej miejscowości się znajdują, z ogromnym dzwonem, któremu rozped nadaje dopiero siła dwóch ludzi, a w dźwięku jego giną odgłosy wszystkich innych bez śladu? Gdzież wy jesteście domy kupieckie zazwyczaj dwupiętrowe z długim parkanem, z urządzeniem wykwiintem pokojów, położonych na wyższym piętrze, ale zazwyczaj pustych; z pierwszym piętrzem oświetlonym zwykle lampą, podczas gdy właściciele wraz z całą swoją rodziną zgromadzą się zaledwie w jednej lub dwóch izbach z wychodzącymi oknami na ulicę, drzemią i marzą snując widoki na przyszłość, zazwyczaj nie nader wesołe. Nie dostrzegamy również i tych rzucających się w oczy domów magnackich, których wejścia obstawione są zazwyczaj dzikimi zwierzętami, lwami i t. p., domów, które połyskiwały dawniej zewnętrznym blaskiem, dzięki wybornym szybom i bronzom przepysznym,

draperyom i portyerom i dlatego dumnie wznosiły głowy w obec kupieckich swoich sąsiadów, zakrywających roletami wypalone od słońca i zniszczone przez czas szyby, nielubiących wcale oczyszczać siebie z rdzy i błota. Niema was tutaj dobrzy starzy znajomi i dlatego dziwno nam jakoś i zorientować się nie możemy zlatwością. Jeszcze bardziej zdumieliśmy się gdy odwracając oczy od góry i miasta, zwróciliśmy je na przystan całą gęsto zapełnioną jakimiś oryginalnymi i zbitymi w kupę statkami. Było ich tak wiele, że zdawało się, iż po nich jak po moście możnaby nie zamoczywszy wcale nóg przejść z naszego statku „Ameryka“ do miasta. Kształt tych statków wpadających w oczy jest tak dziwnym, żeśmy o podobnych nie marzyli nigdy nawet we śnie. Przywiedzimy sobie na pamięć rozliczne widoki, jakie przesunęły nam się przed oczyma w czasie podróży na około świata, i z ich dopiero pomocą dochodzimy do przekonania, że stojąc w przystani statki, są to znane dżonki widziane już przez nas w Chinach; przynajmniej zarysy ich główne z rzeźbionemi upiększeniami po bokach, na tyle (ruf) i na przodzie statku są te same w Japonii co i w państwie Niebieskiem. Wiele tracą czasu tu tejsi żeglarze na wyrzeźbienie i wykwiintne drobiazgowo wyrobienie wszystkich tych nieistniejących nigdzie w rzeczywistości ptaków, fantastycznych zwierząt, jakimi upiękzone są dżonki. Nadzwyczaj dużo wprawy i zręczności potrzeba, ażeby dać sobie radę z ich żaglami, urządzonemi jak draperye w zamożnym domu. Dziwnymi bardzo wydają nam się te draperye na statkach mających płynąć po morzach i spełniać trudną i niebezpieczną służbę. Przecież żagle powinny się rozpuszczać i zwiąć z jak największą szybkością, a więc prostota ich urządzania najlepiej odpowiada celowi.— Na cóż się zdały te niepotrzebne zupełnie rzeźby i te piękne i wykwiintne żagle, któremi kierować jest nader trudno, o ile sądzić możemy patrząc zdaleka, i które niewątpliwie nie dadzą tej pomocy w chwili niebezpieczeństwa, na jaką liczyć może żeglarz europejski? Już gotowi byliśmy wydać wyrok potępiający japońskie dżonki, lecz powstrzymaliśmy się i nie śmiemy tego uczynić, ponieważ wspomnienia zarysowujące się w naszej pamięci i należące do

Rossyi, i w tym wypadku kładą tamę wyobraźni i kreślą przed oczyma zupełnie prawie jednakowe a przynajmniej wielce podobne obrazy. Czyż to dawno jak po Woldze pływały rozmaitego rodzaju większe i mniejsze statki, pomalowane i upstrzone rozmaitemi rysunkami, oslepiające oczy pstrokacizną swoją i jaskrawością, a także i dziwnymi kształtami rozmaitych figur wyrzeźbionych na przodzie lub w tyle statku, które ze szczególnem staraniem wyrobione były na tych wykwiintnych łodziach, jakie stać miały na rzece Oce w czasie niżno-nowogrodzkiego jarmarku?

(Dalszy ciąg nastąpi).

OD REDAKCYI.

Z następnym numerem „Bluszczu“ rozpoczynamy na osobnym Dodatku druk powieści *Wenera* pod tytułem:

Rozerwane Wieży.

Nowi prenumeratorem otrzymają z Nr 1 roku przyszłego prócz zwykłego Dodatku do numeru należącego, Dodatek z Nr 52 r. b. obejmujący początek powieści.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dokończenie powieści *Middlemarch*.

OD WYDAWCY.

Pismo niniejsze wychodzić będzie w przyszłym kwartale pod dotychczasową redakcją i na tych samych warunkach.

Prenumerata w Warszawie wynosi: rocznie Rs. 7 kop. 20, półrocznie Rs. 3 kop. 60, kwartalnie Rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Na prowincyi: w Królestwie i Cesarstwie w Urzędach i Ekspedycjach pocztowych: rocznie Rs. 10 1) półrocznie Rs. 5 2), kwartalnie Rs. 2 kop. 50 3).

Od 1 Lipca wychodzą przy *Bluszczu* prócz zwykłego Dodatku obejmującego Wzory ubiorów i robót, **Mody kolorowane.**

Prenumerata wydania z dotychczasowemi Dodatkami i *Modami kolorowanemi* wynosi w Warszawie: miesięcznie Rs. 1; kwartalnie Rs. 3; półrocznie Rs. 6; rocznie Rs. 12.

Na prowincyi: kwartalnie Rs. 4; półrocznie Rs. 8; Rocznie 16.

Nadmienić mi wypada, że najlepiej będzie dla prenumeratorem na prowincyi zamieszkałych wprost od siebie do redakcyi nadsyłać pieniądze wraz z dokładnym i wyraźnym napisanym adresem. Prenumeratorem z Cesarstwa upraszamy również, by żądania swoje raczyli adresować nie do Ekspedycyi Gazet, lecz do Redakcyi Bluszczu w Warszawie Nr. 411.

Wczesne wyprawienie pierwszych, regularne dosyłanie dalszych numerów *Bluszczu*, zależy głównie od zastosowania się, pod względem przesłania prenumeraty, do powyższego ogłoszenia.

Michał Glücksberg, Wydawca.

1) Licząc w to za pismo Rs. 7 kop. 20, opłata pocztu za przesyłkę Rs. 1 kop. 20, za przepaskę i ekspedycję Rs. 1 kop. 60, 2) Za pismo Rs. 3 kop. 60, opłata pocztu kop. 60, za ekspedycję kop. 80. 3) Za pismo Rs. 1 kop. 80, opłata pocztu kop. 30, za ekspedycję kop. 40.

TREŚĆ: *Gwiazdka*, (poezya).— *Książki dla dzieci* (dokończenie), przez M. Ilnicką. — *Niewiasta polska*, (dalszy ciąg) przez K. Wł. Wójcickiego. — *Historja o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie*, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — *Listy z zagranicy* (dokończenie), przez J. I. Kraszewskiego. — *Przegląd teatralny*, przez Edwarda Lubowskiego. — *Ruch muzyczny*, (dalszy ciąg), przez Jana Kleczyńskiego. — *W Japonii* przez S. Maksimowa.